

FILIP DĄB-MIROWSKI

*O nieskorym
kochaniu*

„O nieskorym kochaniu”

autor: Filip Dąb-Mirowski

©2016 All rights reserved

filipdm.blogspot.com

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części niniejszej publikacji jest zabronione bez pisemnej zgody autora.

Projekt okładki: Filip Dąb-Mirowski

Autor zdjęcia: Aleksandra Korszuń

www.korszun.com

Korekta: Marta Staniszevska

ISBN 978-83-934256-5-5

Odi? Trzeba przyznać, że kiedyś nie dałabym za niego dwóch groszy. Taki miał już charakter, że raz był czarujący, a kiedy indziej zupełnie nie szło z nim wytrzymać. Grymasił, foszył się jak panienka, taka kawiarniana wysiadawaczka. No wiecie, taka kokietka w rogowych raybanach, ubrana w sposób absolutnie planowo niedbały w markowe szmatki z cudzych szaf, a w dłoni nieodłączny tekturowy kubek z kawą. Znacie takie, prawda? On też je znał. Na wylot. Może dlatego tak się czasem zachowywał? Taka poza, której nie potrafił już oddzielić od prawdziwego siebie. Maską, którą przywdziewał ilekroć wychodził szlifować śródmiejskie trotuary. Kursował wtedy między Żurawią, a placem Zbawiciela, jak samotny ryś w poszukiwaniu zdobyczy. Bo tym były dla niego te wszystkie Kasie, Anie i Beaty. Zwierzyną. Trofeami myśliwego. Banalne, mówicie? Być może, ale tak to właśnie wyglądało i jeśli można mieć do kogokolwiek pretensję, to nie do niego. Bo czy można winić kota, że ciągnie go do myszy?

Ja w każdym razie, nigdy nie miałam mu tego za złe bo wiedziałam co nim powoduje. A zresztą, jakże mogłabym być o nie zazdrosna? O co? O te wymuszenie radosne twarze, kolorowe ciuszki, wystudiowane pozy i przeintelektualizowane rozmowy polegające na powtarzaniu zasłyszanych w telewizji morałów? O chętnie sięganie po postępowych autorów, jeśli tylko napisano o nich w gazecie, a ich publikacje nie były grubsze od instrukcji obsługi czajnika elektrycznego? Ha, nigdy. Wybaczcie, ale samo porównywanie siebie do nich wpływa na mnie deprymująco. To jakby kazać, no nie wiem, baletnicy tańczyć hip-hop... ech, ale wróćmy do niego, bo to dłuższa opowieść, a nie

chciałabym uprzedzić faktów.

I. Jesień.

Pierwszy raz zobaczyłam go właśnie w jednej z tych kawiarni. Byłam tam zupełnie przypadkiem. Przysięgam, naprawdę nie chodzę na kawę trzaskać słit focie na fejsa. Robiłam jakieś drobne zakupy w niedalekim butiku bieliźnianym na Marszałkowskiej, a dzień był szary i deszczowy jak to bywa na jesieni. Wiatr nieprzyjemnie targał moim płaszczem, mierzwił włosy i wyrwał z ręki papierową torebkę. Zadrżałam z zimna, stawiając trenczowy kołnierz.

– No mała, dobrze ci zrobi gorąca, słodka kawa – powiedziałam sobie i czym prędzej podreptałam w kierunku placu Zbawiciela.

Z westchnieniem przywitałam na wpół spaloną tęczę – metalową konstrukcję częściowo okrytą kolorowymi wstążkami, stojącą pośrodku ronda. Najwyraźniej była w połowie swojego życiowego cyklu. W tamtym czasie jej ciągłe podpalanie i odbudowywanie stało się pewną formą ideologicznego dyskursu, pomiędzy ludźmi o skrajnie różnych od siebie poglądach. Oczywiście, jak to często bywa w takich przypadkach, ogień nieomylności podpalał nie tylko serca i umysły. Tylko przewróciłam oczami, ludzie zawsze pozostaną tacy sami. Obeszłam plac dookoła, szukając skrytego pod arkadami lokalu, w którym nie było zbyt wielu gości. Nie przepadam za tłumami.

Kilka minut później, ścisnęłam w rękę ogromny kubek przyjemnie parującej kawy z cynamonem, miodem i mlekiem. Siedziałam tak przy niewielkim stoliku i przycisnięta do szkła witryny, popijałam słodki nektar. Zastanawiałam się, co tu począć z resztą dnia, kiedy z zamyślenia wyrwał mnie kobiecy śmiech. Nieco zbyt głośny, gardłowy. Z typu tych, co to nigdy nie ma pewności czy ten ktoś się dusi czy śmieje.

Niestety, filigranowa blondynka wydająca ten raniący uszy charkot, mimo mojej nieśmiałej nadziei, nie dławiała się właśnie kostką cukru. Przeciwnie. Najwyraźniej świetnie bawiła się w towarzystwie jakiegoś odwróconego do mnie tyłem mężczyzny. Siedzieli na stołkach przy barze. On o czymś opowiadał, swobodnie gestykulując. Ona ścisnęła w rękę wysoką latte w szklance z grubego szkła. Co i rusz przysysała się do długiej różowej słomki, z wprawą pociągając solidne łyki wydatnymi ustami.

Zastanawiałam się tylko, czy pod tymi blond włosami, za czerwonymi okularami z zerowymi szklami, kryje się chociaż krztyna intelektu? Taka odrobina, która pozwoli jej opanować ten przywodzący na myśl ostrzegawczy pisk preriowego pieska śmiech, na tyle by było to społecznie dopuszczalne. No, w każdym razie przez społeczeństwo mające w tej chwili swoją przedstawicielkę w mojej osobie. Facet chyba znowu powiedział coś zabawnego bo dziewczyna parsknęła omal nie opluwając siebie i jego kawą. Ledwie zdążyła zakryć dłonią usta. Przepraszyła go i wciąż chichocząc popędziła do łazienki stukając bordowymi botkami, kręcąc pupą opiętą szarą, wełnianą sukienką. Pozerka. Ciekawe co taki modnie ubrany facet jak on robił z takim bezguściem? Jesienna, bordowa marynarka z naszywkami na łokciach, spodnie w ciemnym denimie i buty o zaokrąglonych czubkach z wysokim wiązaniem, wyglądał prawie jak jakiś hipsterski literat. Odprowadził ją leniwym

spojrzeniem, a gdy tylko zniknęła w korytarzu, odwrócił się omiatając wzrokiem salę. Po chwili mnie zauważył.

Nie dałam po sobie niczego poznać, nonszalancko spoglądając na chłostaną deszczem ulicę. Niemal czułam dotyk jego spojrzenia, ale cierpliwie, wytrzymałam tych kilka sekund potrzebnych do tego by mógł mnie właściwie ocenić i zrozumieć, że to nie ta sama klasa co jego wesolutka przyjaciółka. Było to konieczne, ponieważ nauczona doświadczeniem już nieraz musiałam spławić niechcianych adoratorów, którym wydawało się, że grają w tej samej lidze i wobec tego mogą być w polu mojego zainteresowania. To był mój model zachowania, który w myślach nazywałam „NNS”, czyli nonszalancja, nagana, spławienie. Wykonałam już punkt pierwszy i właśnie przeszłam do drugiego.

Nagana wzrokowa przeważnie działała na dwa sposoby. Albo delikwent uciekał gdzieś oczami, ewentualnie wstydliwie spuszczał głowę, albo robił coś w jego mniemaniu zachęcającego, a faktycznie zupełnie prostackiego, np: puszczał oko. Jakimś cudem, wielu wydawało się, że są Don Juanami przed którymi każda chętnie rozłoży nogi, a w ich podbojach absolutnie nie przeszkadzała uwierająca w palec obrączka.

Odwróciłam więc głowę by udzielić mu niewerbalnej reprimendy bo wyglądało na to, że to właśnie jeden z nich, a wtedy spojrzał mi prosto w oczy i uśmiechając się nieznacznie, uniósł filiżankę lekko skłaniając głowę. Spokojnie, po przyjacielsku. Tak mnie to zaskoczyło, że przez chwilę zamarłam, zbita z pantaląku. Miał przystojną, męską twarz o wyrazistej, pokrytej kilkudniowym zarostem szczęce. Sympatyczny, nieco chłopięcy uśmiech. Oddałam pozdrowienie i wróciłam do popatrywania przez szybę, by nie pokazać rodzącego się we mnie zaintrygowania. On z kolei odwrócił się w stronę baru powoli dopijając herbatę. Po minucie wróciła jego znajoma. Rozmawiali jeszcze trochę, ale już ciszej. Zerknęłam, najwyżej raz czy dwa, tak z ciekawości. Później jakoś tak zatopiłam się w myślach, że niemal nie zauważyłam jak po kilku minutach wyszli.

Pozwólcie, że się wtrączę do tej opowieści. Musicie wiedzieć, że z natury jestem wielkim romantykiem. Naprawdę. Wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia, aż po sam grób. Wierzę w zespolenie dusz, w dwie połówki jabłka i te wszystkie inne dyrdymały. Jestem święcie przekonany, że gdzieś tam, w bezkresnym wszechświecie jest osoba, tak mi bliska, że niemal identyczna. Dopełniająca. Bez niej, czuję jak od środka wypala mnie ogień. Jak gniecie mnie straszny głód, którego nie mogę zaspokoić niezależnie ile bym zjadł. Wiem, że będę naprawdę szczęśliwy dopiero kiedy ją odnajdę. To między innymi dlatego się z nimi wszystkimi spotykam. Dlatego wycieram podeszwy moich skórzanych butów, od klubu do knajpy, od knajpy do kawiarni. Na świecie jest siedem miliardów ludzi. Ponad połowa to kobiety. Jeśli odrzucę te zbyt młode lub zbyt stare, albo z innych powodów poza moim zainteresowaniem, to nadal zostaje strasznie duża ilość pań do poznania. Prawdziwy ocean, po którym żegluję.

Ponieważ jestem realistą, skupiam się tylko na tych żyjących w tym i tak przecież dużym mieście. Liczę, że dopomoże mi szczęście i przeznaczenie. Już raz wydawało mi się, że spotkałem tę jedyną,

ale najwyraźniej wrażenie to było nieodwzajemnione. Co tylko umocniło mnie w poczuciu sensu co do dalszych poszukiwań.

Tamtego popołudnia umówiłem się z poznaną na ulicy dziewczyną. Poszliśmy do pobliskiej knajpy na kawę. Zagadałem ją na „zagubionego turystę”. Działąłem szybko. Po prostu mijaliśmy się i w momencie, w którym podniosła na mnie wzrok, spojrzała w oczy i sympatycznie uśmiechnęła, oddałem promienny grymas i prawie nie myśląc zaczępiłem pytając o drogę. Miałem oczywiście przygotowaną w pamięci listę lokalizacji, teatrów, kin, muzeów które mógłbym chcieć odwiedzić dlatego zagadnięcie wyszło całkowicie naturalnie. Nie to, żebym pokładał w jej osobie jakieś specjalne nadzieje. Co to, to nie. Obiektywnie jednak przyznam, że miała rewelacyjny biust, tak na pierwszy rzut wyćwiczonego oka jakieś „85C”. Być może jej twarz nie była jakoś specjalnie interesująca, ale miała świeżo umyte, długie blond włosy i starannie nałożony makijaż, a ja jestem esteta. Czuję na takie niuanse.

Coś tam wymyśliłem, że niedawno przyjechałem i szukam kogoś kto oprowadzi mnie po mieście. Wyczułem jej wahanie. Odgadłem, że sama nie jest stąd. Niepewność nadrabiała postawą i ubiorem, jak skopiowanym z prasy kobiecej. Pewnie przyjechała tutaj do pracy, albo może na studia. Jeszcze czuje się obco ale już chłonie to co miasto ma do zaoferowania. Na to wskazywał dodatek kulturalny do gazety, którą trzymała pod pachą i kubek ze starbunią w dłoni. Emblematyczne rekwizyty mieszczańskiej maniery. Nie mam oczywiście nic do mody. Poważnie, nie przeszkadzały mi tapirowane fryzury i poduszki w marynarkach z lat osiemdziesiątych, ani szelesty dresów w kolejnej dekadzie. Po prostu każdy czas ma swoją modę, rozumiem to i szanuję. Wymagam tylko spójności, konsekwencji i oczywiście dbania o cholerną higienę. Od razu uprzedzę, lakier, żel, puder i podkład to nie to samo co pieprzona woda i mydło. Zdziwilibyście się jak wiele kobiet o tym zapomina. W każdym razie dziewczyna okazała się zgodnie z przewidywaniami czyścioszką, a także sympatyczną osobą. Poprosiłem ją żeby pokazała mi gdzie jest Teatr Polonia.

To był dobry wybór. Byliśmy w miarę blisko, a sam budynek ukryty jest w drugiej linii zabudowy od Marszałkowskiej i łatwo go przeoczyć. Poza tym, stamtąd miałem dwa kroki do placu Zbawiciela, więc łatwo mogłem zrewanżować się niezobowiązującą kawą. Tematów do rozmów nie mogło mi zabraknąć, dość dobrze orientowałem się w teatralnym repertuarze. Kwadrans później siedzieliśmy przy barze w jednej z moich ulubionych knajpek. Nie żebym był, pardon za wyrażenie, hurtownikiem. Lubiłem jednak miejsca gdzie obsługa była sprawna, a barman nie rzucał mi uśmiezków albo głupich uwag widząc mnie znowu z inną dziewczyną. Gdzie było trochę miejsca, a wystrój nie odstręczał tandetą i brudem. Postawiłem jej latte, a sam sączyłem zieloną herbatę z opuncją. Słuchałem co ma do powiedzenia.

Najważniejsze, by wsłuchać się w to co kobieta ma do powiedzenia. Nawet jeśli rozmowa, tak jak w tym przypadku, sprowadza się do quasi feministycznych banałów. Pozwoliłem jej się wygadać i upłynęło sporo czasu nim zapytała w końcu o mnie. Ponieważ tak wiele mi o sobie powiedziała, wiedziałem dokładnie co odpowiedzieć. Tak, ja też przyjechałem z małego miasta, pracuję jako handlowiec, też uwielbiam Slavoja Žižka i oczywiście, że wybieram się na manifę. Nic z tego nie było prawdą, ale dzięki takim odpowiedziom, poczuła się jakby spotkała bratnią duszę. Z kolei ja już wiedziałem, że nie jest moją drugą połową, no ale skoro już się poznaliśmy, to czemu nie wykorzystać okazji? I tak nam mijał czas.

Opowiadałem właśnie jakąś zabawną anegdotę i dziewczyna parsknęła śmiechem potrącając szklankę. Nic wielkiego się nie stało, barman zaraz przetaił kontuar, ale dziewczyna przeprosiła i powiedziała, że musi skoczyć do łazienki. Roześmiana, podniosła się ze stołka i niby przypadkiem położyła rękę na moim kolanie. Pomogłem jej delikatnie łapiąc za biodra i dobrze wiedziałem, że jest już moja. Odeszła zalotnie kręcąc pupą i wierzcie mi, aż pociekła mi na ten widok ślinka.

Fragment noweli "O nieskorej miłości". Pełna wersja do nabycia online - w księgarniach internetowych.